

Joanna  
Chmielewska

**KRWAWA  
ZEMSTA**



Joanna  
Chmielewska

**KRWAWA  
ZEMSTA**

  
KLIN

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz*  
Korekta: *Małgorzata Kot*  
Projekt okładki: *Krzysztof Ostrzeszewicz*  
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2012

ISBN 978-83-62136-69-8

Wydanie I  
Wydawnictwo Klin  
Warszawa, ul. Bruzdowa 117H  
tel. +48 501 686 786  
e-mail: [m.g.klin@op.pl](mailto:m.g.klin@op.pl)  
[www.wydawnictwoklin.pl](http://www.wydawnictwoklin.pl)

## PROLOG

*Długi i bardzo okropny. Nie czytać przed snem!*

Nawet się nie obejrzała, usłyszała warkot silnika i natychmiast zaczęła uciekać w głąb lasu. Pierwszy raz w życiu poczuł zadowolenie, że nie posiada samochodu, samochodem w żaden sposób nie wjechałby za nią. Starym motorem przemykał się między drzewami z największą łatwością, nie pierwszy raz zresztą, nie było takiego miejsca w tym lesie, gdzie nie zdołałby wjechać, na jesieni zbierał grzyby nawet nie zsiadając. Uciekała zresztą głupio, prosto w starodrzew bez gęstego podszycia.

Dogonił ją bez trudu. Potknęła się o konar leżący w przymarzniętej trawie, wymieszanej z równie przymarzniętą zajęczą sałatą i mnóstwem patyków, upadła do przodu, uderzyła twarzą o wystający pień, chyba ją zamroczyło na chwilę, bo nie poderwała się od razu do dalszej ucieczki.

Ta chwila wystarczyła mu w zupełności. Nie musiał się śpieszyć, a jakieś zacieranie śladów miał w nosie, oparł swojego strupla o najbliższe drzewo, siekierę wiół przywiązaną przed sobą, na baku, po co miała wpadać ludziom w oczy uczepiona do bagażnika. Cały las roz-

brzmiewał wprawdzie dźwiękiem silników, stukotem siekier i toporów, gdzieniegdzie także zgrzytem pił, ale na wszelki wypadek... Wcale nie chciał być tym pierwszym, na którego napatoczy się gliniarz z komisariatu.

Odwiązał narzędzie z łatwością, wciąż bez pośpiechu. Przepelniało go szaleństwo. Furia, mściwość, straszliwy gniew z gatunku tych, które czerwoną płachtą przesłaniają oczy. Amok zakamieniały. Tu, przed nim, leżało źródło jego męki piekielnej, nie będzie już źródła, nie będzie męki!

Uderzył sześć razy. Przy siódmym opadła mu ręka, wściekły stres uleciał, stracił siły. Po tej parszywej grypie jeszcze ich w pełni nie odzyskał, w ogóle nie wyjechałby z domu, z łóżka nie wylazł, gdyby nie te cholerne choinki, dwie miał przywieźć, drugiej żądała ciotka. Cała wieś cięła i musiał skorzystać z okazji, jednego zawsze złapia, wszystkim nie dadzą rady.

Wystarczyło. Popatrzył na swoje dzieło bez żalu, z mściwą satysfakcją, starannie wytarł siekierę o wielki liść klonu, zdobiący plecy różowego sweterka. Po tym liściu poznał ją z daleka, nie było we wsi drugiego takiego. Obejrzał siebie, nie znalazł żadnych śladów, przyskało na boki, a nie na niego. Ślepy fart.

Wsiadł na motor, okrążył miejsce akcji dużym łukiem i dojechał do świerków. Trochę sił już odzyskał, ściał dwa, zręcznie owiązał sznurkiem i szmatami, przytroczył wzdłuż swojego rupiecia i pojechał do domu.

W tym momencie zaczął padać śnieg.

Nikt na niego nie zwrócił najmniejszej uwagi, cała wieś była zajęta tym samym, wiedziano bowiem, że komendant posterunku jest na jakiejś odprawie w Sejnach, a jego skąpy personel w gorączkowym pośpiechu czyni

ukradkowe starania dla siebie. Śnieg ucieszył wszystkich.  
Z wyjątkiem komendanta.

Zwłoki znalazł pies leśniczego dopiero w samym końcu stycznia, kiedy znienacka nastąpiła odwilż i leśniczy poszedł obejrzeć szkody, jakie poczyniła przyroda do spółki z ludźmi. Metrowe zasy usiadły, gdzieniegdzie stopniało i odgrzebanie całości nie przyczyniło wielkiego trudu.

Kłopot sprawiło za to ustalenie tożsamości ofiary. Sweterek z liściem zrobił się jakiś trudno rozpoznawalny, a pięć tygodni z twarzą w leśnym podszyciu zniweczyło wyrazistość rysów prawie doszczętnie. Zagadkę rozwiązano w końcu poniekąd alternatywnie, albo to była jedna taka, przyjezdna, cztery i pół dnia tu we wsi mieszkała u Dalbów razem z jednym takim, który ją przywiózł i wywiózł, podobny sweterek nosiła, albo też młoda Dalbianka, Zenia, która nagle znikła z domu akurat na tydzień przed świętami. Jakoś tak razem wypadło, odjazd gości i zniknięcie Zeni.

Zenia nie była córką bogatych Dalbów, wynajmujących pokoje, tylko bratanicą. Dawno już odgrażała się, że ucieknie, czemu nikt się nie dziwił, tatuś awanturnik czy alkoholik, mamusia latawica, za pieniądze świadczyła usługi każdemu kto chciał, starszy brat w mamrze po kilkunastu włamaniach i kilkudziesięciu okradzionych turystach, młodszy z wodogłowiec, czy też czymś podobnym, niedorozwinięty konkursowo, samodzielnie umiał tylko jeść. Co też ta Zenia Dalbianka miała robić w takiej rodzinie?

Stryj Zeni brata alkoholika nie chciał znać, ale bratanicę u siebie przyjmował. Chociaż rzadko i niezbyt chętnie.

Pojawiło się pytanie: czy z jednym takim odjechała Zenia, a przyjeżdżną, obcą, znaleziono w lesie, czy też obca odjechała jak przyjechała, a w lesie leżała Zenia? Przy odpowiedzi wahali się wszyscy, obie blondynki, tego samego wzrostu i podobnej postury, czesały się jednakowo, ponieważ Zenia, ujrawszy miastową już w chwili przyjazdu, z miejsca zmąpowała jej koafiurę. Śnieg i trzytygodniowy mróz zakonserwowały wprawdzie sponiewierane szczątki, ale początkowa i końcowa odwilż zrobiły swoje. No i ten sweterek, Zenia takiego nie miała. A z jednym takim odjechała tylko jedna osoba, co najmniej piętnaścioro świadków na własne oczy widziało obok kierowcy jedną jasną głowę, drugiej nie było, na tylnych fotelach jechała choinka. Zatem, która z nich?

Włączyło się województwo.

– Miazga – oznajmił patolog z ponurym niesmakiem. – Sześć ciosów siekierą wyłącznie w okolicy miednicy, od tyłu. Przerąbany kręgosłup. Innych obrażeń w zasadzie nie ma, ślad silnego uderzenia w czoło, ale wnioskując z tego jak leżała, upadła zwyczajnie twarzą prosto na ten pień. Żywa upadła.

– Wygląda, jakby tatuś sprawił córce zdrowe lanie, tylko narzędzie wziął niewłaściwe – zaopiniował asystent doktora z niesmakiem jeszcze większym, co wszystkim od razu nasunęło myśl o tatusiu Zeni, alkoholiku brutalnym i agresywnym.

Zatem jednak Zenia...?

Rychło wyszło na jaw, że nic podobnego, tatuś odpa, spił się na sztywno, do domu wrócił o ósmej rano, rozgonił rodzinę, z nieznanых przyczyn połamał starą okiennicę i zasnął martwym bykiem. Trzech klientów

mamusi zaświadczyło, że spał do siódmej wieczorem, o siódmej się obudził, kropnął sobie klina, którym dysponowała mamusia, po czym zasnął na nowo i obudził się dopiero w biały dzień.

Do diabła z tatusiem. Jak nie Zenia, to chyba ta druga...?

Natychmiast okazało się, że nikt nie wie, kim byli przyjezdni. No owszem, poszła wieść, że to jakiś ważny z telewizji z sekretarką. Z zeznań świadków wynikało, że szukał plenerów do nowego filmu, znaczy oglądał okolicę, a sekretarka zapisywała co widzi. Sprzęt posiadał, te tam jakieś kamery, aparaty fotograficzne, komputerek, z ludźmi gadał i głównie pytał, ile by chcieli za wynajęcie domu na zdjęcia. Reszta szczegółów społeczeństwu umknęła i do nikogo jego nazwisko nie dotarło. Nazwisko sekretarki tym bardziej. Mówił do niej „Małpeczko”, co w żadnym wypadku nie mogło być imieniem chrześnym w chrześcijańskim kraju, a fakt sypiania z nią był czymś tak zwyczajnym, że nikt się nim nie przejął. Zenia z Małpeczką była w doskonałej komitywie i wręcz się zaprzyjaźniły.

Mimo, iż w sprawę włączyła się w końcu i Komenda Główna, ów reżyser-producent-scenarzysta pochodził bowiem podobno z Warszawy, nie wykryto niczego. Wedle zeznań całej wsi, samochód przedstawiał sobą marki od polskiego fiata, poprzez całą produkcję japońską, do mercedesa, kolor wahał się pomiędzy jaskrawą czerwienią, ostrym błękitem, jadowitą zielenią i głęboką czernią, jego numeru zaś nie zauważył nikt. Jeden dziesięcioletni chłopiec twierdził tylko z uporem, że na przodzie miał WG i stąd wzięta się Warszawa. W warszawskiej telewizji nikomu nie zginęła żadna sekretarka i nikt nic nie słyszał



o żadnym nowym filmie w północno-wschodnich rejonach kraju.

Jedno tylko stwierdzono niezbicie, mianowicie ustalono osobę ofiary. Dostępne było DNA zarówno zwłok, jak i śladów pozostawionych w domach obu Dalbów, i wyszło z nich, że jednak siekierą porąbana została Zenia.

Dziwne. Nikt nic do tej Zeni nie miał, żadnych pretensji, żadnych odstawionych od piersi gachów, żadnych zazdrosnych narzeczonych, żadnych rywalek, nikt jej się o nic nie czepiał. No, poza tatusiem, który owszem, po pijanemu ganiał Zenię z zamiarem skarcenia, czasem nawet doganiał i bardzo karcił, który jednak w tym wypadku odpadł w przedbiegach z racji stuporu alkoholowego, a ogólnie gniewny był na nią, bo buntowała się i zamierzała uciec.

Sprawcę tożsamość posiekanych szczątków rąbnęła niczym grom z jasnego nieba, do tego stopnia, że nie zrobił nic. Nic kompletnie, nawet się nie upił. Nic go ta Zenia nie obchodziła, nie do Zeni przecież szła zemsty go ogarnął, tylko do tamtej... tamtej... tamtej, co czerwono mu robiła przed oczami i wymykała się spod ręki jak śliska żmija. Uwiodła go, omamiła rozkręconym tyłkiem, raz obdarzyła rozkoszami nadziemskimi, a potem rzuciła. Kręciła przed nosem i nie dawała. Jutro miała odjechać. I co...?

I fajno, nawet nie krowie, a świńskie!!!

Majka postanowiła się zemścić.

Nie tak zwyczajnie, metodami stosowanymi powszechnie, słownie, obmową, ewentualnie czynnie, za pomocą parasolki czy tłuczka. Rzucanie kamieniami w okna również odpadało, w ogóle nic jawnego, nic publicznego. Kompletnie inaczej.

I na czymś kompletnie odmiennym niż zazwyczaj to bywa.

Mianowicie postanowiła się zemścić na tyłku.

Tak jest. Na tyłku.

Który niszczył jej życie.

Należy wyznać smutną prawdę, że Majka prawie od urodzenia była beznadziejnie głupia. Nie rzucało się to w oczy i nikt tego nie dostrzegął, najwyżej od czasu do czasu padały uwagi w rodzaju: „Zgłupiałaś, czy co”, „Postąpiłaś jak głupia”, „Ty chyba głupia jesteś” i tym podobne, pełne zgorzienia, zdziwienia, nagany, ale nigdy nie traktowane poważnie, ponieważ nikomu nie przychodziło do głowy, że przypuszczenie mogłoby okazać się najdoskonalej trafne. Obok głupoty bowiem Majka prezentowała znakomitą, błyskotliwą inteligencję, która, jak wiadomo, z głupotą potrafi iść w idealnie zgodnej parze.

Źródłem głupoty było dobre serce.

Właściwie nie robiło jej nic złego, poza przyczynianiem strat finansowych i dowałaniem roboty. Majka nikomu nie potrafiła odmówić pożyczki, nie umiała upomnieć się o zwrot, w związku z czym zwracano jej te pożyczki raz na sto albo i dwieście razy, i były to osoby wyjątkowe. Cała reszta, nie czując nad karkiem terminu, radośnie zapominała o długu, zaciągała nowy, a Majce przez gardło nie przechodziło napomknięcie o poprzedniej nieoddanej pożyczce.

Stanowczo wołała brać następne zlecenie i siadać do pracy.

Ratowały ją tylko chwilowe braki, bo odmawiać nie umiała i bij człowieka głową w ścianę. Serce jej się ścisnęło na myśl, że taką przykrość komuś zrobi, nie pomoże w nieszczęściu, nie ulży troskom, gorzej, obrazi osobę śmiertelnie. Aż tak potworną kretynką nie była, żeby gdzieś w głębi duszy nie zdawać sobie sprawy, że wielokrotnie osoby ją kantują, żerują na niej, oddawać wcale nie mają zamiaru, w gruncie rzeczy domagają się darowizny, ale wiedzę duszy tłumiła i przydeptywała z całej siły, bo jak to, okazać komuś brak zaufania? Podejrzewać go? Dać mu do zrozumienia, a nawet powiedzieć wprost, że łże jak świnia? Przecież to obelga! Brutalne zeszczenie człowieka!

No nie, do czegoś takiego nie była zdolna.

Wołała wierzyć w ludzką uczciwość, prawdomówność i przyzwoitość, jeśli wręcz nie w szlachetność. Tak została wychowana i tak nauczona w dzieciństwie, w niej samej ugruntowały się te cechy i zawarła z nimi sojusz na zawsze. Mówiła prawdę, nie robiła żadnych świństw i za żadne skarby świata nie zawiodłaby niczyjego zaufania.

Poza tym była mniej więcej normalna.

Niezwykłym zrządzeniem losu poślubiła osobnika o nie tyle cechach, ile upodobaniach podobnych. Dominik lubił mówić prawdę, nie cierpiał łgarstwa i stanowczo życzył sobie być przyzwoitym człowiekiem. Za nic w świecie nie zgodziłby się i nie uwierzył, że w gruncie rzeczy pochodzi to z lenistwa, wszelkie kręctwa i oszustwa wymagają bowiem wysiłku, a na przesadne wysiłki nie miał najmniejszej ochoty. Owszem, był pracowity, ale tylko wtedy, kiedy zajęcie mu się podobało i akurat przypadało do gustu. W innej chwili mogło nie przypaść i wówczas bronił się przed nim pazurami i zębami, najchętniej uciekając i kryjąc się po rozmaitych zakamarkach, a jeśli ucieczka była niemożliwa, nadymał się i pęczniał furją. Osobowość miał silną, wytwarzał zatem wokół siebie atmosferę godną trąby powietrznej. Z tą różnicą, że trąba powietrzna ciągnie w górę, atmosfera Dominika zaś gniotła w dół.

Majce to specjalnie nie przeszkadzało, ponieważ kochała ten zaślubiony trąbo-gniot nad życie, usposobienie miała pogodne, charakteru małżonka nauczyła się błyskawicznie i potrafiła uciążliwość przeczekać, względnie przestawić wajchę na inne tory. Najczęściej zaś po prostu odwaliała za niego wzgardzoną robotę, o ile była niezbędna i nie przekraczała jej sił fizycznych lub umysłowych.

Dominik również kochał Majkę nad życie. Głównie dzięki temu, że nie nękały go przez nią żadne przymusy. Nie musiał wracać punktualnie do domu, nie musiał robić żadnych zakupów, nie musiał wymyślać i organizować żadnych rozrywek, nie musiał brać udziału w głupkowatych spotkaniach towarzyskich, których nie trawił, i nie czuł gwałtownej potrzeby zarabiania pieniędzy. Mówi-

więc wprost, nie musiał kraść. Co sprawiało, że w obliczu pełnej dobrowolności, jak na pracującego męża, robił mnóstwo, z pominięciem, rzecz jasna, kradzieży.

Jako ranny ptaszek, śniadanie dla dzieci przyrządzał ze śpiewem na ustach. Przepierkę w pralce robił bardzo chętnie, w łazience zostawiał idealny porządek nie tylko po sobie, lecz także po żonie i dzieciach, zmywał wręcz odruchowo bez najmniejszego oporu, bo tak go mamusia nauczyła i weszło mu w nałóg. Bardzo lubił myć okna, oczywiście tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę, a zdarzało się to niekiedy nawet przed Wielkanocą. Doskonale umiał zaparzyć herbatę i usmażyć jajecznicę. Kochał pojazdy mechaniczne, szczególnie motory.

I nienawidził zarabiania pieniędzy.

Świetnie tańczył, ale nie bardzo to lubił. Znakomicie grał w brydża, ale przenigdy na forszę, nawet po groszu nie wchodziło w rachubę. Miał absolutny słuch i doskonały głos, ale niechętnie śpiewał i nie cierpiał opery, a także operetki, teatru, kina, kabaretu i wszelkich innych tego typu rozrywek. Nie znosił żadnego alkoholu. Nie imaćło się go żadne majsterkowanie. Brzydziły go i napełniały wstrętem damskie kosmetyki upiększające. Nie tolerował żadnej sztuczności. Nienawidził sportu.

Ale zarabiania pieniędzy nienawidził najbardziej.

Majka nie dysponowała olśniewającą pięknością, była zwyczajnie ładna, czasem wyjątkowo ładna, czasem tylko przeciętnie, błyskały w niej jednakże jakieś atrakcyjne drobiazgi, dzięki którym miała powodzenie. Dominik był średnio przystojnym, sympatycznym facetem mieszczącym się w normie męskiej urody, prawidłowo zbudowanym, w pełni sprawnym fizycznie i miał w sobie COŚ. Razem tworzyli idealnie dobraną parę. Majka

budziła zainteresowanie facetów, za Dominikiem baby latały jak wściekłe.

Dominik za babami nie.

Był najzwyczajniej w świecie monogamiczny. Miał jedną babę, wybraną dla siebie, swoją własną, i to była jedna kobieta w całym kosmosie, bez konkurencji, po prostu pojedyncza sztuka rodzaju żeńskiego. Resztę stanowili sami ludzie pozbawieni płci, taki gatunek ssaka wyższego rzędu. Niejadalny i nie zawsze użyteczny.

Przez jedenaście lat znajomości, a dziesięć małżeństwa Majka zdołała w to granitowo uwierzyć i przestała żałować wszystkiego, co poświęciła dla Dominika. Skończyła studia wcześniej niż on, mimo iż była o dwa lata młodszą, zrezygnowała z kilku atrakcyjnych propozycji zagranicznych i zabrała się do roboty w kraju.

Naukę języków obcych rozpoczęła w wieku lat trzech przez czysty i szczęśliwy przypadek. W tym samym domu zamieszkały trzy rodziny obcokrajowców i wszystkie dzieci bawiły się na tym samym skwerku, ogrodzonym i bezpiecznym. Cztery języki szalały wśród zieleni i kwiecia, polski, angielski, szwedzki i włoski, przyswajane przez dzieci w sposób niepojęty i w tempie nadprzyrodzonym, a dodatkowo Majkę opanował francuski, brat mamusi bowiem rozsądnie się ożenił. Francuska ciocia dzieci uwielbiała i co parę miesięcy zabierała siostrzeniczkę do Francji na długie pobyty.

Talenty lingwistyczne okazały się dla Majki łaskawe, z czego nic jej nie przyszło. Najwyżej płacz i zgrzytanie zębów, kiedy musiała odmówić obcym twórcom showbiznesu współpracy reklamowo-dekoracyjnej. Nie była tłumaczką ani dziennikarką, tylko, po ukończeniu ASP, dekoratorką wnętrz, wystaw, okazjonalnych uroczys-

tości, pokazów reklamowych i ewentualnie scenografii do rozmaitych sporadycznych występów. A mogła więcej, mogła w tej całej Europie pokazać co potrafi i zarobić parę złotych, sypiając nawet więcej niż dwie godziny na dobę. A zatem znacznie mniej męcząco niż w ukochanym kraju. Ale nie mogła przecież zostawić niezadowolonego Dominika z dziećmi, chociaż dwie babcie deklarowały pomoc.

Wynalazku Fenicjan Dominik nie uwzględniał i konieczność posługiwania się w życiu codziennym ordynarnym szmałem, flotą, kasą, mamoną do niego nie docierała. O tej odrażającej ohydzie nawet słuchać nie chciał.

Ale w swojej pracy, projektowaniu bardzo wymyślnych konstrukcji stalowych, czuł się szczęśliwy, promieniał i tryskał geniuszem. Gdyby przyjął kontrakt do Australii...

Nie przyjął i cześć.

No to co? Majkę kochał, może nawet z przesadnym zapałem i nadmiarem wigoru. W końcu nikt z nas nie jest bez wad.

\* \*  
\*

– Ty, słuchaj – powiedziała Bożenka, najlepsza przyjaciółka Majki, o dwa lata starsza. – Ty rzuć trochę okiem na swojego chłopca. Nie chcę się wtrącać, ale radzę ci z dobrego serca.

– Bo co? – zainteresowała się Majka.

Bożenka odsapnęła, umościła się w starym fotelu i rozejrzała dookoła.

– Masz coś nagannego i szkodliwego do picia? Nie mogą tak na sucho przekazywać chamskich plotek.

– Mam piwo. Wszystko inne się u mnie zmarnuje... no nie, wódka nie, wódka może czekać sześć lat i nic jej nie będzie, ale każde wino skwaśnieje. Może być piwo?

– Może być. Masz na myśli otwarte? To wino?

Majka kiwnęła głową, zsunęła się z wysokiego stołka przy kreślarskiej desce i ruszyła do kuchni po napój. Bardzo lubiła Bożenkę i plotki w jej wykonaniu, i nawet słowem nie napomknęła, że od piwa się tyje. O ile oczywiście coś się przy tym jada, a Bożenka jadała chętnie. Czarnowłosa, dorodna, miała już co najmniej jedenaście kilo nadwagi, ale była przy tym tak kształtna, że tych jedenastu kilo prawie się nie dostrzegało. No i w końcu nie codziennie zdarzały się poważne okazje.

Siedziały w pomieszczeniu niesłusznie zwanym pokojem dziennym, który w domu Majki stanowił skrzyżowanie salonu, jadalni i pracowni. Pracownia zajmowała ledwo jedną trzecią przestrzeni i składała się z komputera wraz z wielkim monitorem, drukarki, deski kreślarskiej, mnóstwa papieru w rozmaitej postaci i mnóstwa zdjęć w pudełkach od butów. Majka, jak większość utalentowanych projektantów, nie potrafiła stworzyć koncepcji na ekranie komputera, musiała mieć do tego papier i rękę. I trochę przestrzeni dla rozmachu. Później dopiero mogła swoją koncepcję opracowywać komputerowo, zmieniać, poprawiać i ubierać w szczegóły. Reszta pokoju zawierała w sobie stół jadalny, krzesła, kanapę, fotele, półki na książki, telewizor, oraz wielce oryginalny mebel potężnych rozmiarów, kredenso-bufet na co elegantsze naczynia stołowe, niemieszczące się w kuchni. Razem wzięwszy, panowała tam nieco uciążliwa ciasnota, ale innego wyjścia nie było, pokój dzieci zajmowały dzieci, w sypialni zaś Dominik koniecznie chciał spać



i awanturował się, kiedy pracująca żona świeciła mu reflektorem po oczach. Majce natomiast obecność rodziny w czasie pracy nie przeszkadzała, potrzebne jej były ręce i wzrok, a reszta nie miała znaczenia. Dzieci od urodzenia zostały wytresowane, telewizję mogły oglądać, ale w zakresie racjonalnym i z wykluczeniem dzikich ryków, Dominik zaś niczego wokół siebie nie rozrzucał.

– Ale ty przecież lubisz wino? – powiedziała z lekkim zdziwieniem Bożenka do wracającej z piwem Majki.

Majka wzruszyła ramionami.

– Pewnie, że lubię, tyle że bez przesady. Nie wytrąbię jednym kopem całej flachy, a ona wytrzyma tylko do nazajutrz. Rzadko się zdarza, żeby do pojutrze i rzadko które. Dominik prawie do ust nie weźmie, co do dzieci natomiast, pozwolisz, że zacznę je zachęcać dopiero za parę lat. Dziesięć na przykład.

– Może być dziesięć – zgodziła się Bożenka i psyknęła puszką.

Majka podsunęła jej szklankę, przyjętą z aprobatą.

– Masz rację, wolę ze szklanki, z puszki niewygodnie. No więc właśnie, o Dominiku mówię cały czas, a ty nic.

Majce wydawało się wprawdzie, że mówią o różnych przyjemnych napojach, ale przypomniała sobie początek.

– Mam na niego patrzeć. Patrzę codziennie. Bo co, źle wygląda?

– Głupia jesteś. W domu patrzysz, nie?

Majka porzuciła rajzbret i usiadła na kręconym krześle przy komputerze. Też otworzyła sobie piwo. Najmniejszy cień niepokoju nie zapikał jej nigdzie.

– Mam patrzeć gdzie indziej?

– Przydałoby się. Co i raz ktoś od nas u nich bywa

służbowo, sama wiesz. I donosi. Co z tego, że w zieloni robię, ale więcej w tym zagospodarowania terenu niż kwiatków, z ich żelastwem ciągle mam do czynienia. Jakoś ostatnio się nie składało, więc tylko nastuch miałam, ale teraz właśnie musiałam tam lecieć przez mostek. Zielony mosteczek uginasie.

Majka знаła Bożenkę zaledwie od dziewięciu lat, ale poznanie dogłębne nie nastroczało trudności. Bożenka co w sercu, miała i na języku, waliła wprost, szła niczym walec drogowy, bez względów dla nikogo i niczego, bezlitosnym taranem. A tu nagle zaczęło jej coś przeszkadzać. Sprawa musiała być zatem wyjątkowo poważna.

– Bożenka, wiesz co? Opamiętaj się. Nie uwierzę, że urznęłaś się w dwie minuty jedną dziesiątą puszkę piwa, a nic od ciebie nie śmierdziało jak tu przyszłaś. Znaczy, trzeźwa jesteś jak świnia. Ty mi się z mosteczkiem nie uginasiaj, tylko mów, o co biega i przytupuje.

– On zwodzony – powiedziała ponuro Bożenka.

– Kto...? A...! Rozumiem, że mostek?

– A jak? Dlatego musiałam trochę z nimi pouzgadniać, bo już mi ustrojstwo w różyczki pchali. Twój Dominik, złego słowa nie powiem, więcej genialny niż głupi, fajerwerkiem rozwiązał, więc aż mi łyso i gdzieś tam mnie ściska.

Majce najpierw zrobiło się przyjemnie i poczuła się tkliwie dumna z Dominika, a potem dotarło do niej, że coś tu zgrzyta, bo nie z komplementami Bożenka przyleciała. I nie błyskotliwość projektanta tak ją dziwnie zatyka.

– Dobra, genialny to on jest i głupi też, wszystko w normie. Co jeszcze wywinął?

– Nic.

- Co?
- Nic.
- Jak nic, to co się stało?
- To nie on wywija.

W obliczu bliskiej perspektywy trzydziestych pierwszych urodzin jakieś pojęcie o życiu Majka już miała. Bardzo ją wspomogły doświadczenia własne, prawie gotowa była pogodzić się z faktem, że nie wszystkie jednostki ludzkie promieniają szlachetną przyzwoitością. Ktoś tam musiał Dominikowi napaskudzić koło pióra...

Ciekawe, kto? I jak...?

– Dobra, wal dalej i przestań się tak dławić, bo nie chce mi się lecieć do sklepu po czysty spirytus. Mam salicylowy...

– Nie chcę – odmówiła z energią Bożenka. – Tego piwa, jakby co, masz więcej?

– Mam.

– No to ci powiem. Sama wiem, że takie bździny tylko człowieka denerwują, kretyn bąka i bąka, a sedna rzeczy nie powie, pierwszy raz widzę, że to wcale nie takie łatwe. W dodatku widzi mi się, że ja pierwsza z tym do ciebie przyleciałam, ale co tam, lubię was i może jeszcze nie jest za późno. Po kolei ci powiem, co najpierw słyszałam, może być?

Rewelacje Bożenki zaczęły Majkę ciekawić. Jakieś plotki... o, mówiła to przecież, chamskie plotki.

– Bardzo dobrze, uporządkowana kolejność zawsze przydatna. Wal.

– No to pierwszy raz w ucho mi wpadło, jak Andrzejek powiedział, że Kręcidupcia zeskanuje i wydrukuje, tylko przy formacie trzeba ją przypilnować. Nic mnie to nie obeszło, bo nie moje mieli, same budynki brali, bez